

665

TEATR IM. SŁOWACKIEGO

Jan Paweł Gawlik zemicł się na Krakowie okrutnie. Przypominając starego seksuologa, który pouczał wszystkich, już sam nie praktykuje (vide jego cotygodniowe porady na łamach „Gazety Krakowskiej”) pod groźnym pseudo, wyłożył prowadzony przez siebie teatr do końca. Powtórzył raz jeszcze metaforę, ukutą przy okazji kolejnej kłeski („Przedstawienia „Hamleta” a we wsi Glucha Dolina” Ivo Bresana, iż wygląd zewnętrzny remontowanego, a zarazem rozlatującego się gmachu w pełni oddaje spustoszenie wewnętrzne Teatru. Gawlik sprowadził Teatr im. Słowackiego na teatralną bożnicę.

Pierre Chesnot: „Czarujący Ij-dak”, Christopher Hampton: „Niebezpieczne związki”, Ivo Bresan: „Przedstawienie „Hamleta” we wsi Glucha Dolina”, Aleksander

brzmiał tak przekonująco. Świat-na muzyka Krzysztofa Szwa-jgiera, współtwórcy sukcesów Teatru STU, wyraziła sensy, a scenografia Stanisława Walczaka wzmo-gła wrażenie swą ekspresją zamkniętości. Jednym słowem: przedstawienie „Dnia gniewu” stało się nieoczekiwaną rewela-cją krakowskiego sezonu. Zakwa-lifikowane do finałowej rozgrywki Festiwalu Sztuk Współczesnych, godnie reprezentowało Kraków we Wrocławiu.

LUDOWY

Henryk Giżycki, słusznie w poprzednich sezonach krytykowany, że nie potrafi na du-żej scenie przygotować znaczącej pozycji, przeżył jako dyrektor zamianicną metamorfozę. W obli-czu dymisji, która i tak nastąpiła, przeżył w Nowej Hucie swój najlepszy sezon pośród dzie-ściu tu spędzonych. Właśnie wieloobsadowe propozycje wypa-liły. Prawie wszystkie.

„Dzień gniewu” Romana Brand-staettera tu doczekał się swej premiery. Po dwudziestu sze-ściu latach inscenizacja Romany Bobrowskiej i Henryka Giżyckie-

przed pięcioma laty, niedobrze jest, gdy stanowiska dyrekcyjne obrastają niczym spód okrętu. Nigdy nic z tego dobrego nie wy-nika.

BAGATELA

I tu zapowiadało się na dyrek-cyjną zmianę. Propozycja zmiany Tadeusza Kwinty zro-dziła się w głowach jego najbliż-szych... współpracowników. Po-twierdzają to nie tylko plotki z kawiarni, których wokół Bagate-li wiele. Nikt nie lubi, kiedy dy-rektor to przysłowiowa Zosia-Sa-mosia. Sprawy dzięki praktyce we wszystkich niemal modelach teatru (Piwnica, Cricot, Ludowy za czasów Kraszkowskich, war-szawska Komedia Lipińskiej, te-żże Kabarecik w Telewizji, tam-że, głównie na krakowskich Krze-mionkach, trickeowe bajki Bodu-cha i niezliczone cykle dla mio-dzieży Maryli Rewińskiej), pracowity i pomyslowy, dynamiczny i niezający słowa „przeszto”, po-trafiający zaśpiewać i zatańczyć,

Podobnie udało się Tadeuszowi Malakowi, który w Nowej Hucie odnosi od lat swe reżyserskie sukcesy („Parady” Potockiego, „Hiob” Wojtyły), jego własna wersja „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu” Mikołaja z Wilkowicka. Jest to tym bard-ziej godne uwagi, że w tradycji polskiego teatru już nikt nie do-równa kongenialnej wersji Dejm-ka-Stopki.

Pozycja Waldemara Smigasi-wicza w reżyserskim światku,

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

Po sezonie (II)

TRZY TEATRALNE TWARZE

Fredro: „Maż i żona” oraz Fried-riech Dürrenmatt: „Wizyta star-szej pani” — pięć pozycji, z któ-rych każda może być sukcesem. Sukcesem osobnym. Bo razem o niczym nie świadczą. Świadczą tylko o dyrektorskich nerwach, kiedy doczekał się na sukces nie można. Świadczą o pośpiechu. O szukanii po omacku. I jeszcze o jednym. Najważniejszym. Sukces każdej z tych sztuk zależy od wykonawców. Od reżysera i od aktorów.

Bo przypomnijmy: pismo sukcesu Chesnota w Paryżu, aplauz dla „Niebezpiecznych związków” w Londynie, uznanie dla Bresana nie tylko w Jugosławii (polskie oddziaływanie wersji tele-wizyjnej), a ileż było ciekawych inscenizacji Fredry, ile fascynują-jących „Wizyt”. Za każdym ra-zem — podkreślam tu raz jeszcze — o powodzeniu inscenizacji i jej wpływie decydowała teatral-na praktyka.

Cała natomiast dyrekcja Ga-wlika w Teatrze im. Słowackiego dowiodła, że każdy wymy-siony przy biurku sukces stawał się na scenie kłeska. Scena jest bez-względna, o powodzeniu w samej tradycji zdaje się nie pamiętać. Nie wystarczy wyjść na scenę i mówić atrakcyjny tekst. Prze-konał się o tym Gawlik naocznie: bo albo tekst się wzięrzyał (jak Bresan), albo mało już śmieszny (jak Chesnot), albo za trudny dla wykonawców (jak Fredro), albo też zbyt skomplikowany dla re-żysera (jak Hampton). Kiedy zaś na to narzucił całkowity brak motywacji grania tego, a nie in-nego utworu, właśnie *hic et nunc*, teraz, w Krakowie — wtedy zacy-na się kłeska.

Smutek, ale prawdziwy. Na o-tarcie też warto podkreślić, iż w przekroju całej dyrekcji ocieplała trójka twórców: Jacek Chmiel-nik jako indywidualność twórcza i odtwórca (udane realizacje je-go sztuk), Wojciech ZiętarSKI ja-ko nadzieja reżyserska (wspania-ła „Laweczka” Gelmana z Soko-łowską i Jedryskiem) oraz Anna Sokolowska jako aktorskie speł-nienie po latach (obok „Lawecz-ki” zagrała znakomicie przygo-towaną reżysersko przez Katarzynę Deszcz monodram Arnolda Wes-

go dowiodła nie tylko wartości te-go moralitetu, w sposób niesche-matyczny analizującego postawy ludzkie w czasie hitlerowskiej no-cy okupacyjnej. Giżycki przy po-mocy Bobrowskiej nie zatracił rapsodycznej dramaturgii słowa, dowodzącego racji trudnego opty-mizmu. Dobro wprawdzie oczy-szcza zło, ale wcale nie niweluje jego złości, które znowu są po-trzebne dla zaistnienia światła o-czyszczenia.

To najważniejsze przesłanie dramaturga, budującego sytuację tragiczną, jaką wyznacza od ra-za obecność poszukiwanego przez Gestapo Żyda w klasztorze. Jego obecność zresztą nie jest przy-padkowa. Jego cudowne ocalenie miało być błąką kartą w wyra-finowanej grze esesmana z Prze-orem, byłym — kolegą z semina-rium. Biały — żydowski uciekie-mer — nie przyjmie ofiary, jaką chcą mu ofiarować nie demucy-lizac go duchowni. Ale wtedy SS Sturmabführer Born podejmie jeszcze jedną perfidną zagrywkę niedowiarka, wyznawcy narodo-wego socjalizmu. Prześladowane-go i zaszczętego Żyda ukoronuje cierniem. Na podobieństwo Chry-stusa. I czyniąc to, bezwiednie wyzwoły nieobliczalne sily. Oto na jego oczach dokoną się transfigu-racja prostego rzemieślnika w charzmatycznego proroka, gina-gącego za wiarę. I za zbawienie.

Pojedynek spojrzeń, spojrzeń kata i ofiary, sprawy, że kat od-stąpi od dokonania zbrodni. Na-wrócenie nie zniweluje jednak kary: Born zginie w zamachu, o którym wie na swoje nieszczeście moralnie wygrany Przeor. Zwycię-stwo sił dobrych nie będzie więc całkowite. Dobro realizując się dopuści do głosu zło. Zginie człowiek, który dokonał wielkiej rzeczy, mimo że był zbrodniar-zem. Pokonał siebie, ale spraw-iedliwości stanie się zażość po-przez pomoc... zła.

Tak głęboko zarysowana filo-zofia postaw i wyborów otrzy-mała aktorskie wsparcie. Grają-cy gościnnie Blatta Krzysztof Globisz ze Starego Teatru, Hen-ryk Giżycki jako Born i absolut-na rewelacja sezonu — Ireneusz Kaskiewicz sprawili, że cały roz-rachunek Brandstaettera za-

duży czas pozostającego w cie-niu swego mistrza — Macieja Wojtyłki, zyskała wiele dzięki realizacjom krakowskim. Smiga-rowski, bardzo pracowity, reali-zujący swe propozycje zarówno na scenie, jak i w telewizji, za-równo w szkole teatralnej, jak i na deskach teatru zawodowego, wystawił w Nowej Hucie „Fan-szena” Davida Hare’a, I choć ta paradoksalna rzecz scenicz-na, nuciująca absurd zażach chińskiej rewolucji, wiele straciła na ostrości w wysięgu z życiem (na-za rzeczywistość jest jednym z dowodów takiego szybkiego bie-gu historii), przedstawienie zali-czyć trzeba do udanych.

Wreszcie, właśnie w Hucie — Włodzimierz Nurkowski, który tak dotkliwie przejechał się na inscenizacyjnym pewniaku w Teatrze im Słowackiego („Nie-bezpieczne związki” Hamptona) — troche zrehabilitował się „Moralnością pani Dulskiej”.

Kiedy mówimy o Teatrze Lu-dowym w Nowej Hucie, to paś musi jeszcze jedno nazwisko. Jo-lanta Szczerba, ta wspaniała kompozytorka, stająca w tej chwili tuż obok Koniecznego, Radwa-na i Szwa-jgiera w rzędzie naj-wybitniejszych muzyków polskie-go teatru, od lat współpracuje z nowohucką sceną, podnosząc przez swoje tworzywo rangę wie-zi, nawet niezbyt udanych („O-dyseja”) przedstawień.

Wreszcie nie wolno nie zauwa-żyć rezultatów trafnej polityki kadrowej Giżyckiego. Po wiel-kich stratach przed trzema i czte-remi laty, kiedy podstawowa ka-dra albo rozprzerzcha się po Pol-sce, albo wzmocniła Teatr im. Słowackiego i Bagatela, Giżycki zaczął angażować absolwentów krakowskiej PWSi i tym to spo-sobem Teatr Ludowy w Nowej Hucie jest chyba wiekowo naj-młodszy. Tak jak przystało na teatr w najmłodszym dzielnicy Krakowa.

Jeśli tyle i tak dobrze mówi się o Giżyckim, to czy słuszna jest decyzja o odwołaniu go ze stanowiska dyrekcyjnego? Odpo-wiadając od razu, że na pewno szlachniejszą byłaby dymisja przed rokiem, przed dwoma, a nawet

wystąpić na estradzie i zagrać wszystko — Tadeusz Kwinta nie musiał być lubiany jako dyrek-tor artystyczny.

Zarzut „wszystko pod siebie” nie karał na siebie zbyt długo czekać. Związka, kiedy na ai-szu pojawiła się autorska bajka „Krawcy szczęścia”, a niestety in-ne propozycje nie osiągały na-dal zapowiadzianej rewolucji ja-kościowej. Mimo przemian ze-spolu i mimo wielu starań tan-demu dyrekcyjnego (Kwinta-Win-nicki).

Bagatela, żeglując w kierunku teatru popularnego, miotał się między bajkami dla dzieci, kry-minałami (osławiona „Pułapka na myszy” Agaty Christie), kome-diami („Trzydzieści trzy omdle-nia” Antoniego Czechowa) i musi-calami („Jeszcze w zielone gramy” Wojciecha Młynarskiego). Na przykładzie tego ostatniego, firmowego niejako spektaklu wi-dać, że niepowodzenie zawdzie-czać może przedstawienie muzy-czno scenariuszowi. I że pozba-wienie się na przykład doradcę literackiego było przedczesne.

Nie zawsze reżyser musi być samowystarczalnym geniuszem. Praktyka amerykańskich spekta-kli muzycznych (a ich organizacja pracy to absolutny rekord świata) wskazuje, że jeden czło-wiek nie może napisać scenariusza i go wyreżysersować. Takich trzechstronnych facetów produkuje tylko Polska. I rezultaty widać są. W sztuce bowiem, po-dobnie jak w polityce, niezbędna jest nieustanna kontrola efektu. A człowiek sam się nie skontroluje.

Tak więc sezon w całości mniej udany, aniżeli debiutancie lata Kwinty. Brak takiego ubiegłoro-cznego hitu, jak paradokmalny spektakl o Włodzimierzu Wysłockim, daje się wyraźnie odczuć. Jeszcze chwila, a znowu przeżywa przeciętność. Tak jak było za czasów Górkiwiczka, któ-ry dobrze startując, z roku na rok obniżał poziom, sam wraz z rodziną robiąc wszystko, a który przypominał o swojej obecności propozycją na Małej Scenie (W. Pietrow: „...moja miłość”).

(e.d.n.)